

Chłopiec z zapalnikami

1 maja 2017

Kilka pocisków wystrzelonych na syryjskie lotnisko wystarczyło, żeby Donald Trump usłyszał pochwały od międzynarodowej opinii publicznej. Czy wymagania są tak niskie, czy też liberalne elity cierpią na niezdrowy militarizm?

Jeszcze nigdy w historii 59 pocisków Tomahawk nie zrobiło takiego zamieszania ani nie przykuło takiej uwagi. Użyte w akcji odwetowej za atak chemiczny Asada na Idlib rakiety wywindowały Donalda Trumpa na wyższy poziom. Jeszcze nie jako męża stanu, ale w opinii niektórych całkiem blisko. „Prezydent Trump zachował się wreszcie jak prawdziwy przywódca supermocarstwa, na którym spoczywa odpowiedzialność za losy świata” – napisała Polityka. „Donald Trump w końcu stał się prezydentem Stanów Zjednoczonych” – ogłosiło CNN. „Trump trzeźwo zareagował na wieść o śmierci niewinnych dzieci” – orzekł „New York Times”, a Washington Post chwalił „moralne walory przywództwa” nowego prezydenta. Decyzja Trumpa spotkała się z aprobatą sojuszników USA i przeważającej części politycznego establishmentu w kraju. Nawet Hillary Clinton poparła bombardowania. Podobnie jak brytyjscy torysi, liberalni demokraci oraz laburzyści. Po trzech miesiącach demagog, populistą, rasistą, polityk, który uznawany jest za zagrożenie dla Ameryki i świata otrzymał gromkie okłaski. Bo na ekranie swojego telewizora zobaczył wstrząsające obrazki zatrutych bronią chemiczną syryjskich dzieci i w „odruchu serca” wydał rozkaz wystrzelenia pocisków z pokładów dwóch niszczycieli rakietowych klasy Arleigh Burke, stacjonujących na co dzień w hiszpańskim porcie Rota. Tomahawki uderzyły w lotnisko, z którego jak się przypuszcza startowały samoloty do misji trucenia sarinem syryjskich obywateli. Co prawda w chwili uderzenia lotnisko było opustoszałe, bo administracja Trumpa o ataku uprzedziła Rosjan, a tym samym Asada, ale chodziło o

efekt propagandowy. Symboliczny przekaz, że użycie zakazanej przez międzynarodowe konwencje broni chemicznej będzie miało poważne konsekwencje. A Trump choć deklarował, że USA nie będą już „policjantem świata” potrafi być twardszy niż Obama, który w analogicznej sytuacji, kiedy w 2013 roku wojska Asada zagazowały ponad tysiąc osób w Ghucie, na akcję militarną się nie zdecydował. „Trump naprawił błąd Obamy” ogłosili rozradowani publicyści. Chwalenie decyzji Trumpa jest jednak niebezpieczne. Politycznie nabuzowany, rozochocony aprobatą establishmentu prezydent USA może korzystać z militarnych narzędzi zawsze, kiedy jego sondaże będą niskie.

EMOCJONALNA POLITYKA

Problem w tym, że polityka międzynarodowa Stanów Zjednoczonych jest dziś – jak większość ekspertów przewidywała, kiedy stery rządu obejmował Donald Trump – niespójna, chaotyczna i nieprzewidywalna. A to problem. Niedawno prezydent największego supermocarstwa świata podjął decyzję o bombardowaniu lotniska w Syrii – bez konsultacji z Kongresem ani aprobaty ONZ – pod wpływem chwili i emocjonalnego wzburzenia. Jutro może zdecydować o czymś innym powodowany kolejnym impulsem. Również łamiąc demokratyczne oraz międzynarodowe standardy. I tym razem niekoniecznie w „słusznej sprawie”. Kontekst jest ważny, bo globalnej polityki nie można prowadzić pod wpływem emocji. Zwłaszcza w sprawach tak skomplikowanych jak konflikt w Syrii, gdzie nie ma jasnego podziału na dobrych i złych. Gdzie obie strony tej barbarzyńskiej wojny domowej dokonują masakr i cyklicznie łamią prawa człowieka. Trump niechcący zmienił sytuację dla głównych aktorów syryjskiego dramatu, w tym sojuszników Damaszku: Iranu i Rosji. Zwłaszcza reakcja Moskwy jest tutaj kluczowa. Dla Putina, mimo powszechnej narracji, Asad wcale nie jest przyjacielem, ale Rosja nie widzi sensownej alternatywy dla reżimu. Ma trochę racji, bo doświadczenia zachodnich interwencji w Iraku, Afganistanie, a ostatnio w Libii udowodniły, że obalenie autorytarnych rządów prowadzi

najczęściej do politycznej pustki, w której najlepiej czują się radykałowie, którzy kreują krwawy chaos i destabilizują całe regiony. Dla Rosji to także symboliczny policzek – Syrię uważa za swoją strefę wpływów. Dlatego reakcja była tak ostra. „Atak USA na syryjską bazę lotniczą był przekroczeniem czerwonej linii. Odpowiemy siłą na jakiegokolwiek nowe akty agresji” – oświadczył rosyjsko-irański ośrodek dowodzenia wspierających prezydenta Syrii. Sytuację stara się łagodzić Angela Merkel, która niespodziewanie na 2 maja zapowiedziała wizytę w Moskwie, bo jak twierdzą źródła Spiegel’a „jest zaniepokojona sytuacją międzynarodową”. Berlin obawiał się, że prezydent Trump porozumie się z Putinem kosztem Europejczyków. Tymczasem doszło do sytuacji odwrotnej. Waszyngton wykazuje tak wielki dystans wobec Moskwy, że problemem stało się niezbyt duże zbliżenie, lecz całkowity brak kontaktów. Merkel ma więc być pomostem między Moskwą a Waszyngtonem. Gasić dyplomatyczne pożary. Zmniejszać napięcia. Łagodzić konflikt. Ale to może nie wystarczyć.

PREZYDENT WOJNY

Największym niebezpieczeństwem dla świata jest to, że Trump może stać się prezydentem wojny. Już przebąkuje się o prawdopodobnym ataku na Koreę Północną, a prezydent USA zobaczył i utwierdził się w przekonaniu, że nic tak nie poprawia sondaży jak zdecydowana akcja militarna. I pokazanie siebie jako stanowczego przywódcy. To nie przypadek, że decyzja o bombardowaniu syryjskiego lotniska zapadła podczas spotkania Trumpa z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem. Prezydent USA zachował się jak typowy macho. Może to przypadek, ale w jakimś sensie było to pokazem dominacji. Co zresztą spaja się z autorytaryzmem, o który Donald Trump był oskarżany. Historia uczy, że wojna jest idealną okazją do konsolidacji i koncentracji władzy. A Trump cieszy się niskim poparciem i olbrzymią dezaprobatą. Legitymizacja jego decyzji o ataku na Syrię przez liberalny establishment wytrąca z ręki argumenty przeciwko ewentualnej interwencji USA w Korei. I fatalnych w

skutkach atakach na inne kraje. Trump bombarduje nie tylko Syrię. Niedawno w ataku USA na Mosul zginęło 150 cywilów – więcej niż w chemicznym ataku Asada, mimo że Amerykanie użyli „legalnej” broni. W styczniu Navy SEAL w wyniku militarnej akcji skierowanej przeciwko Al Kaidzie zabiło 30 kobiet i dzieci w Jemenie. W tym ośmioletnią Amerykankę. Nie wiadomo, czy Trump płakał, kiedy się o tym dowiedział.

DONALD NIXON

Przekonanie międzynarodowej opinii publicznej, a zwłaszcza stolic innych państw o nieprzewidywalności Trumpa może być nowemu prezydentowi na rękę. Podobnie jak kiedyś Richardowi Nixonowi, który uważał, że zachowywanie się szaleńczo daje mu przewagę i budzi grozę. Na pewno dziś Iran i Korea Północna weryfikują swoje założenia. W końcu Trump pokazał, że Stany Zjednoczone mogą uderzyć bez ostrzeżenia, bez zgody ONZ i bez aprobaty Kongresu. Wystarczy, że Trump zobaczy w telewizji coś, co go wzburzy emocjonalnie. Bycie postrzeganym jako nieprzewidywalny szaleniec może karmić ego nowego prezydenta USA, ale nie rozwiąże żadnych problemów w polityce międzynarodowej. Tak jak 59 pocisków Tomahawk nie zakończyło dramatu Syrii. Najazd komandosów na Jemen nie zlikwidował Al Kaidy, a bombardowanie Mosulu nie uspokoiło sytuacji w Iraku. Dzieci giną w wielu miejscach świata, gdzie toczą się krwawe konflikty, również w wyniku działań Ameryki, i nie zawsze są pokazywane w głównym paśmie antenowym. Żeby zapobiec tragediom potrzeba przemyślanej polityki i sensownych strategii, a nie działań punktowych. Świat na łasce impulsywnych działań Donalda Trumpa nie jest bezpieczniejszy. Duży chłopiec z zapałkami w każdej chwili może go podpalić.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: Cooltura.co.uk